

„...W r. 1886<sup>3</sup> nasza siostra (kołowa) Marja-Kajetana odwoziła na granicę w Maczkach 3 pensjonarki, a rodzone siostry, panny Frankowskie. Oddawszy je ojcu, który na nie tam czekał, przechadzała się zwolna po samotnym peronie. Wtem nagle uczuła, że ją ktoś ciągnie za sukienkę. Obraca się i widzi dwóch urzędników kolejowych, którzy ją pytają, czy wraca do Krakowa? „A tak”. „To możeby siostra wzięła ze sobą księdza, który jedzie z Sybiru także do Krakowa?” „A gdzie on?” — pyta siostra i zaczyna się rozglądać. Ale panowie ci widocznie nie chcieli pokazać siostrze przyszłego towarzysza podróży, bo prędko zagadnęli: „My go siostrze przyprowadzimy do wagonu, jak już siostra siądzie; ma tłomok, który nadamy i mały kuferek przy sobie.” „To dobrze,” powiada siostra i sadowi się w osobnym coupe. Prowadzą go między sobą, jakby nieżywego i w wagonie sadzają na ławce, z trzaskiem drzwi za sobą zamykając.

„Siostra M. Kajetana po chwili zaczyna się księdzu przyglądać. Siedzi nieruchomy, oczy spuszczone i ręce kurczowo zaciśnięte. Próbuje rozmowy, ale napróżno; oczy jeszcze się mocniej zamykają, jakby z przestachu jakiego. „Co tu robić?” — myśli siostra — „Panowie kazali go zawieźć do Marków, a to biedactwo ani mówić nie może. Może będzie jadł?...” Upał był straszny, więc siostra kupiła truskawek i podaje księdzu. Popatrzał, wziął jedną i na tern koniec. „Chory albo pomieszany” — rozumuje siostra. „Wiem, co zrobię! przyprowadzę go do kraty (rozmównicy) i niech nasza Matka (L. L. W. Tomaszewska) zrobi z nim, co zechce”. Tak też się stało. Siostra, przyjechawszy, zostawia księdza u drugiej kraty, sadza jak automat na krzesło, a sama prosi o przelożoną, do czwartej i wszystko opowiada. „A gdzie On?” — woła uradowana Matka, że Bóg jej zsyła kapłana, „przyprowadź go tutaj”. S. M. Kajetana idzie po swego pupila, a wiedzieć trzeba, że ubrana była po świecku, w pięknej mantyli i wielkiej budzie ze wstążkami na głowie. Prowadzą się tedy oboje przed 3-cią kratę, a s. Marja-Cecylja, która tam z bratem siedziała odzywa się: „Jakieś stare małżeństwo prowadzi się do naszej Matki”. „Ależ nie,” protestuje p. Lebenstein „to siostra Kajetana!” Czwarta krata przeraziła biednego księdza — wyprężył się, ręce spuścił po bokach, oczy zamknął i ani słówka na pytania Matki nie powiedział. Poprosiła więc ks. Lubowidz-kiego, który go zabrał do siebie i jak dziecko ułożył do łóżka. Z papierów, które miał przy sobie, dowiedziano się, że to był ks. Seweryn Gargilewicz, zesłany na Sybir i teraz, po 20-tu latach, na wolność wypuszczony. Lat miał 63. Nazajutrz ubrano go i zaprowadzono do kościoła, sądząc, że odprawi Mszę Św.; staruszek dał się ubrać i zaprowadzić do ołtarza, ale przyszedłszy do epistoły, stał i stał bez pamięci. Znowu więc zabrał go ks. Lubow. i przekonano się, że długie wygnanie i straszne pewno cierpienia, odebrały mu przytomność. Pomalutku zaczął do siebie przychodzić, ale najspokojniejszym się wydawał, kiedy miał obok siebie „mego Anioła-Opiekuna”, siostrę Kajetanę.

„Z początku nie mógł znosić krat (w rozmównicach), bo się obawiał, że to więzienie; kiedy go chciano zaprowadzić przez korytarzyk do zakrystji, krzyknął przerażony: „Jabym miał iść do tego więzienia!., nigdy!” Przed świeckimi panami uciekał, albo stawał wyprężony, jak widocznie robił, kiedy go chciano indagować.

„Kiedyś, posłyszawszy muzykę wojskową, uciekł pędem z dziedzińca i schował się w jakiejś kamienicy, gdzie go kościelny nasz znalazł, przykucniętego w ciemnym kącie. Prędko rozeszła się wieść o naszym wygnańcu-męczenniku. Odwiedził go z wielką łaskawością nasz ukochany Pasterz, ale nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Jeszcze się nie opamiętał. Mieszkał już wtedy w Krakowie ks. kan. kaliski Rogoziński, który także lat wiele przebywał na Sybirze. Przyszedł i on, przekonać się i zobaczyć, co to za kapłan mieszka u wizytek. Zaledwie stanął przed ks. Gargilewiczem, a ten buch na kolana i ze łzami radości ściska go za nogi. Poznał w nim swego przelożonego na wygnaniu i towarzysza niedoli i od tej chwili zupełnie przyszedł do siebie. Był to kapłan niezwykle gorliwości: spowiadał w kościele świeckie osoby, miewał nauki postne i adwentowe i tak się do nas przywiązał, że kiedy p. Zamojska chciała go mieć kapelanem, odpowiedział stanowczo: „Bóg mi przeznaczył ten kościół do pracy, więc się stąd nie ruszę, choćby mnie miano zabić!”

„Przywiózł ze sobą w tłomoku stare futro i poduszkę, a w kufierku koszulinę perkalową i mszał — i to wszystko! Ale nigdy nie chciał nic przyjąć, zadawałnając się intencjami mszalnemi; nietylko więc nie był nam ciężarem, ale wielką ulgą i pomocą, zwłaszcza kiedy ks. Lubowidzki zaczął zapadać na zdrowiu...

„Od dłuższego już czasu niepokoiło nas zdrowie ks. Gargilewicza. Częste wysypki po całym ciele, bardzo przykre, pokazywały, że w organizmie jest jakiś ferment; w ostatnich miesiącach przyłączył się bardzo silny ból gardła, w którym musiała być jakaś narośl, bo trudno przychodziło mu mówić. Staruszek jednak ani chciał sły-

szeć o doktorze i o łóżku. Kiedy na koniec nie mógł już wstać, odwiedził go jego towarzysz wygnania o. Wacław kapucyn i widząc, że zbliża się do końca - wspomniał o sakramentach Św., ale chory nasz, nie czując się tak źle, odmówił. Tymczasem jeszcze o. Wacław nie wyszedł za furtkę, kiedy ks. Gargilewicz nagle życie zakończył dn. 14 paźdz. 1900 r. Pamiętamy, jak w czasie rannego „Posłuszeństwa” wbiegła s. furtjanka Marja-Gabrjela, wołając z płaczem: „Moja Matko, już!” - „Umarł?!” odpowiedziała Matka, umarł, niestety, bez sakramentów, co ją i nas wszystkie bardzo trapiło. Uspokoił nas o. Łaszczyk T.J., który zdaleka brał żywy udział w życiu naszym.”

W starej księdze meldunkowej klasztoru s.s. wizytek zanotowano: „Ks. Seweryn Gargilewicz przybył dn. 6 lip. 1886 r. z Horodyszcz, gub. penzeńska”.